DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLINSKIEGO“
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 11 czewca 1922 r. | Nr. 12.

Kruk i lis.
(Przekład z La Fontaine'a).

Kruk, na drzewie siedząc sobie,
Kawał sera trzymał w dziobie.
Lis, zapachem przynęcony,
Zrobił niskie trzy ukłony
I do kruka rzekł. „O! dziwy
Jakżeś panie urodziwy!
Wysiliła się natura;
Co za postać, co za pióra!
Jeśli tylko, choć o włosek
Masz piękniejszy od piór głosek,
Wtedy ręczę ci honorem,
Że jak bór ten stoi borem,
Z twą postacią i oczyma
Piękniejszego ptaka niema!“
Kruk, nie myśląc, że to zdrada,
Z radości się nie posiada:
Chce zachwycić lisa śpiewem,
Lisa, który siadł pod drzewem,
I szeroko dziób roztwiera...
Wtem wypada kawał sera.
Lis natychmiast za ser chwyta.
„Mości panie, z nami kwita!“
Rzecze chytry lis do kruka:
„To dla ciebie jest nauka,
Byś na przyszłość nie był próżny,
Z pochlebcami był ostrożny,
Ta nauczka moja szczera
Warta przecież kawał sera!“

T. Nowosielski.

Łysogóra.

Wyżyna sandomierska jest jedną z najpiękniejszych okolic polskiej ziemicy. Wznosi się ona pomiędzy Pilicą, Wisłą i Nidą; grzbiet jej ciągnie się półkolem, w którem królują wyniosłością swych szczytów Łysogóry, zwane także górami S-to Krzyskiemi.

Początek łańcucha tych gór stanowi Łysica czyli góra św. Katarzyny, biorąca nazwisko od położonego u jej stóp klasztoru panienek Bernardynek. Jest to najwyższą ze wszystkich gór w Królestwie, gdyż wznosi się 1908 stóp nad poziom morza Bałtyckiego. Dalej idzie góra Łysa albo Łysica, na wierzchołku której zawieszony w obłokach klasztor pobenedyktyński, — panuje nad całą okolicą, a widać go także o mil kilkanaście. Po tych idą mniejsze góry, jak Jeleniówka, Witosławka, Królewska i Książęca.

Podgórze w całej swojej rozciągłości stanowi pas ziemi urodzajnej, z ogromnemi wypukłościami i wklęsłościami, pomarszczonej jak lice zgrzybiałego starca, poszarpany w dziwny zygzowaty sposób, na której potop lub jakiś straszny kataklizm natury położył swe niszczące piętno. Wśród tych malowniczych parowów snują się gdzie niegdzie jak węże strumyki lub czernią się małe kępy lasu i krzaków.

Strony te znane były jeszcze w dobie przedhistorycznej naszego kraju. Widocznie dla górzystego swego położenia, dla gęstych i dziewiczych lasów, które prawie aż do naszych czasów dotrwały, przedojcowie nasi, poganie, zbierali się tu na tak zwane wiece. Tu decydowali o wojnie i o obronie, a w końcu mieli tu na najwyższej górze swoją świątynię, po której się odbywały uroczystości i odprawiano modły, tu mianowicie obchodzono rok rocznie „święto dziadów.“ Na gruzach tej świątyni pogańskiej, wystawił Bolesław kościół i klasztor i sprowadził dla zakonników reguły św. Benedykta, którzy coraz więcej krzewiąc wiarę, byli zarazem prawdziwymi pionierami dla ciemnego ludu pogańskiego, oni go uczyli gospodarstwa zakładali piękne owocowe ogrody — słowem przynieśli z sobą mieszkańcom dobrobyt, a i sami obdarowani przez panujących i magnatów, urośli pręko w znakomite mienie. To też chciwie łupiestw oczy sąsiadów już w pierwszej połowie XIII wieku zaczęły tu zaglądać. W r. 1260 Mongołowie po bitwie Lignickiej otaczają i łupią klasztor, pomordowawszy zakonników i mieszkańców, którzy tu schronienia szukali. W sto lat później najeżdżają klasztor Litwini, za Jana Kazimierza Szwedzi pod wodzą Karola Gustawa.

Klasztor ten i kościół doznawał szczególnej opieki królów polskich, dlatego mimo tych klęsk jaśniał coraz większym blaskiem. Władysław Łokietek, Kazimierz Wielki obdarzają Benedyktynów przywilejami i dobrodziejstwami. Władysław Jagiełło jeszcze jako poganin jadąc do Krakowa po chrzest i koronę wstąpił tu aby zobaczyć drzewo krzyża św., które się tu w kościele przechowuje.

Ze szczytu wieży kościoła roztacza się przed nami prześliczny krajobraz. W dali majaczeją Kielce, Chęciny, Busk, w mgle błękitnawej rysuje się Kazimierz nad Wisłą. W południowej stronie sinieje pasmo Karpackiego Podgórza.

U stóp naszych bory — pną się po zboczach gór wysmukłych, coraz wyżej... wyżej!... W dolinach pola kobiercem leżą barwnym, haftowane złotem pszenicznych i żytnich łanów, łąki, puszystych traw zielenią i kwieciem różno-kolorowem przetkane — bieleją ściany chat niskich, polskich, poprzytulanych do stóp wzgórzy lesistych.

Po niższych częściach stoków gór wyniosłych, zielonemi smugi ciągną się pola i łąki kwieciste, wyżej ciemne bory wpół dzikie pieśnią drzew prastarych rozśpiewane; górskie strumienie wartkiemi poto-

kami szemrzą, szumią, srebrne fale kaskadą pereł spadają z kamiennego łożyska, z tła przepysznej zieleni wyłaniają się skalne głazy, wielkie, jasne, tak gęsto pośród gór rozrzucone, że nazwa „Łysogóry“ od tych właśnie ogromnych, łysiną świecących głazów początek swój wzięła.

Łysogóry, pokryte bujnemi lasami, strojne kobiercem puszystych traw i ziół rozlicznych, liśćmi paproci i leśnego kwiecia bogactwem niezrównanem, są także wielką, cenną skarbnicą dla górnictwa polskiego w łonie swojem mieszczą minerały. Dostarczają nam pięknych krajowych marmurów, rudę miedzianą, ołowianą i żelazną, wapień, piaskowiec, glinę ogniotrwałą i t. p.

W najdalszych zakątkach kraju rozpowszechnione jest między ludem mniemanie, że Łysa Góra jest siedliskiem djabłów i czarownic. Na zachodnich stokach ogołoconych z lasów, pokrytych głazami, które w gwarze ludowej nazywają się gołoborzami, zgromadzają się co sobotę z całego kraju czarownice i wyprawiają przez noc różne harce z biesami. Czarownica siada na miotłę i mówiąc: „Płot, nie płot — Wieś, nie wieś, — Biesie wieź!“ leci na Łysą Górę.

Weselne gody w Krakowie.

U dworu Kazimierza Wielkiego w Krakowie wychowywała się wnuczka króla, Elzbieta, córka szczecińskiego książęcia Bogusława, od lat kilku osierocona po matce. Celowała ona niepowszednią urodą i rzadką krzepkością i siłą. Posłowie papiescy umyślili połączyć księżniczkę małżeńskiemi śluby z cesarzem Karolem Luksemburczykiem, od kilkunastu miesięcy wdowcem po trzeciej żonie. Obie strony chętnie zgodziły się na ten związek. W kwietniu roku 1363 miały się odbyć w Krakowie uroczystości weselne.

Spieszyło tedy do Krakowa na miesiąc kwiecień tak liczne i dostojne towarzystwo weselne, jakie mało która stolica widziała kiedykolwiek w swych murach. Przedewszystkiem przybył ojciec oblubienicy, książę pomorski Bogusław; z nim przyjechał jego bratanek Waldemar, głośny na północy król duński. Zmierzał też do Krakowa król węgierski Ludwik, sławny w ówczesnym świecie jako pan wiele koron.

Przy boku syna Ludwika znajdowała się także królowa Elzbieta. Każdy z monarchów średniowiecznych poczytywał sobie za obowiązek honoru mieć w swoim orszaku kilku książąt hołdownych. Przybywali tym sposobem z cesarzem Karolem IV książęta bawarski i świdnicki, Otto i Bolko, z królem Ludwikiem Władysław, książę opolski, nareszcie mazowiecki hołdownik Kazimierza, książę Ziemowit. Nie chybiło dalej poselstwo od sprzymierzonych książąt rakuskich; nie brakło też posłów papieskich, sprawców całej uroczystości.

A cóż za tłumy pomniejszych książąt i pośledniejszego rycerstwa płynęły obecnie do Krakowa, jak zawsze w porze podobnej! Wszakże nad wszelką mieszaniną tak różnobarwnych drużyn gościnnych niższego rzędu, nawet poniekąd nad owe znajome głowy monarsze, świecił oczom ówczesnym i świeci wspomnieniu dzisiejszemu pewien obcy z daleka nadciągający przybysz królewski: był to król Jerozolimy i Cypru z rycerskiego rodu Luzynjanów francuskich. Mimo krótkości panowania zasłynął on w dziejach jako Piotr „Wielki“; a pełna przygód historja jego rodu i życia niezwykłego dodawała mu uroku.

Już się wszyscy książęcy i królewscy goście zjechali byli; brakowało tylko cesarza, któremu godność pierwszego monarchy w chrześcijaństwie nakazywała przybywać wszędzie ostatnim. Gdy wreszcie oznajmiono, iż się zbliża, wsiedli na koń wszyscy czterej królowie: Ludwik, Waldemar, Piotr i Kazimierz, i w towarzystwie nuncjusza papieskiego, poprzedzeni nieprzejrzanym tłumem panów każdego dworu, wyjechali naprzeciw cesarza. O milę od Krakowa obaczyły się z daleka oba nadciągające ku sobie dwory. Nastąpiła zwyczajna wówczas walka grzeczności i ceremonji. Uradowany wyrządzoną sobie attencją, cesarz zsiadł z konia i szedł pieszo na spotkanie monarchów. O czem od dworzan swoich usłyszawszy, królowie zeskoczy czemprędzej z siodeł i podobnież pieszo nieśli powitanie gościowi.

Wtedy przy podaniu sobie rąk przez monarchów, przy wielokrotnych uściskach pomiędzy nimi, przy podobnemże witaniu się książąt i rycerstwa wszystkich dworów, witaniu się tylu języków i narodów na małym ziemi polskiej kawałku, cóż za radość przejęła wszystkie serca! Następnie wsiedli wszyscy znowu wesoło na koń i posunęli się ku miastu. Tuż przed bramami miejskiemi czekał ojciec oblubienicy cesarskiej, książe Bogusław, wraz z panną młodą, otoczoną strojnem gronem małżon i dziewic. Za czem nowe ceremonje i przywitania, nowe dalej pokłony witającego w bramach stolicy duchowieństwa, mieszczaństwa, wszystkich stanów! Zeszedł na tem dzień cały i dopiero pod wieczór stanęli monarchowie w zamku królewskim.

Rozmieszczeniem przybyłych gości królewskich zajmował się stolnik sandomierski i podskarbi królewski Mikołaj Wierzynek. Z obowiązku tego wywiązał się znakomicie. Cesarz z królami i książętami otrzymali „przepyszne mieszkania i komnaty na zamku, strojne w kosztowne opony i kobierce, w złotogłowie i glejnoty rozliczne.“ Mniej znakomitym panom, niezliczonemu tłumowi zaproszonych i bez zaproszenia przybyłych zewsząd rycerzy wyznaczono „uczciwe“ gospody w mieście. Każdemu z panów, każdej gospodzie miejskiej przydano osobnego komornika czyli przystawa, mającego pamiętać o wszystkich wygodach gości. Wszystkim przystawom zalecił król Kazimierz słuchać rozkazów najwyższego zawiadowcy, Wierzynka.

Pod jego kluczem rozwarły się wszystkie skarbce, komory, piwnice i owe z dawno nagromadzonych zapasów słynne spichrze Kazimierzowskie. Przyszłoby całą księgę napisać, gdybyśmy chcieli opowiadać wszystkie szczegóły uraczenia gości królewskich. Dość będzie nadmienić, iż każdy nietylko do zbytku otrzymał tego, co zwyczajnie należy się gościowi, lecz nadto dawano mu obficie, czego tylko zażądał, czego zapragnął z sobą na drogę lub do domu. Nasławszy wszystkim wszystkiego do komnat w zamku i gospód w mieście, porozstawiano jeszcze na rynku krakowskim ogromne w wielu miejscach beczki i kadzie, pełne wina i owsa, z których każdy czerpał nietylko w miarę potrzeby, lecz nawet według upodobania, bo natychmiast stawały pełne, jak wprzódy. A jaki ład w obsłudze, jaki dostatek panował w zaopatrzeniu, taka też wesołość niezwyczajna ogarnęła serca wszystkich gości weselnych.

(Dokończenie nastąpi.)

Boże dary.

Jeden staruszek, bardzo zacny i święty, który przepędził młodość z szablą, a późniejszy wiek przy uprawie roli, ciężko raz zaniemógł. W tej słabości uczynił ślub, że jeśli wyzdrowieje, tylko już o Bogu rozmyślać będzie i nauczać maluczkich. Wejrzał Bóg miłosiernem okiem na gorącą modlitwę swego sługi i staruszek wkrótce odzyskał zdrowie.

Dopełniając uczynionego ślubu, wziął staruszek kij w rękę i powędrował od wioski do wioski. Gdzie tylko stanął, gromadził dziatwę około siebie i opowiadał jej różne ciekawe dzieje. Ale przychodziły nań takie dnie, że jak się zamyślił, to i cały dzień nieruchomy przesiedział, słowa do nikogo nie mówiąc. Po każdym jednak takim zachwyceniu wstawał daleko rzeźwiejszy, z nierównie jaśniejszą twarzą i jakby upojony szczęściem.

Zdarzyło się, że podczas jednego takiego zachwycenia, ujrzał się na drugim świecie i wcisnął się nawet do samego nieba.

Trafił właśnie na chwilę, kiedy sam Pan Bóg wyprawiał stamtąd młodziuchne duszyczki na pielgrzymkę życia; zawieszał każdej torebeczkę na szyję i błogosławił jej na drogę. Co się tam jednak w tych torebeczkach znajdowało, tego staruszek nie dojrzał, bo choć bardzo był święty, to oczyma świeżo ze ziemi przyniesionemi nie potrafił jeszcze wszystkiego rozeznać.

Szczęściem, stojący u drzwi jakiś mąż święty, widząc ciekawość staruszka, zbliżył się do niego i zapytał:

— Chcesz zapewne wiedzieć, co się w tych torebkach znajduje?

— O, i bardzo — odpowiedział staruszek.

— Wiedz zatem — rzekł święty — że żadna duszyczka nie wychodzi stąd bez darów niebieskich, któremi je sam Pan Bóg szczodrą dłonią uposaża: ale wszystkie potem, powracając ze ziemi, muszą ze skarbu im powierzonego ścisły zdawać rachunek.

— Spojrzyj no tylko — dodał święty po chwili — przez to okienko, przez które widać drogę ziemską i duszyczki po niej idące, co się z temi niebieskiemi torebeczkami dzieje.

Staruszek, ponieważ był bardzo ciekawy tego, wychylił głowę przez okienko i patrzył... Gościńcem szły tysiące duszyczek, z torebkami na piersiach pełnemi... Nierychło rozpatrzył się staruszek w tym tłumie. Ale gdy poszedł okiem powoli za jedną, potem za drugą i trzecią duszą, dopiero zauważył, jak się to dary Boże marnuje na ziemi, Jedni szli, wesoło śpiewając, i gubili je po ziemi przez nieuwagę; drudzy, nie patrząc pod nogi jak należy, upadli i rozsypywali je po ziemi; inni znowu zabiegali drogę filuci, i za lada cacko wykpiwali od nich najdroższe zapasy życia; a tylko bardzo mało było takich, którzy donosili do mety to, co im Bóg dał, całe lub pomnożone.

Najczęściej człowiek przychodził obdarty i nagi do kresu pielgrzymki i dopiero u drzwi niebieskich spostrzegał, że próżną niósł torebkę. Byli czasem i tacy, co ochronili całą swą spuściznę, ale gdy przyszło do obrachunku, pytano się ich, czemu z darów Bożych nie korzystali i nie pomnożyli ich pracą? Niektórzy znowu zamiast brylantów niebieskich, nieśli z powrotem w torebce błoto i piasek. Inni wreszcie mieli ją napełnioną łzami gorzkiemi i żalem; ale tych ostatnich ojciec niebieski przytulał do serca, bo łzy i żal, warte były drogich kamieni.

Patrzał się staruszek, a patrzał: taki to był cudny widok tych ziemskich pielgrzymów w białych z początku sukienkach, które się nieraz brukały, prały we łzach, to znów świeciły i znowu czerniały.

I byłby tam staruszek nie wiedzieć jak długo patrzał, gdyby go ów święty nie był odciągnął od okienka.

Wtem zdało mu się, jakoby się z snu przebudził, znalazł się bowiem na tym samym kamieniu, na którym usiadł przy drodze. Ale pamięć tego widzenia nie zatarła się w nim przez całe życie. Opowiadał je chętnie drugim, a i sobie często przypominał, z czem on to wyszedł na pielgrzymkę życia i z czem z niej powinien powrócić. Zbierał więc, co utracił; a co zebrał, pomnażał ciągle; to też gdy przyszedł na końcu drogi do obrachunku, pewnie łzą żalu poczciwą resztę torebki dopełnił.

Józef Ignacy Kraszewski.

Bożek gnieźnieński.

Gdy za czasów Mieczysława I światło wiary chrześcijańskiej rozszerzało się na polskiej ziemi, pogańscy kapłani dokładali wszystkich sił, aby się przy dawnem panowaniu utrzymać. Stąd pomiędzy ludem utrzymały się przez wszystkie wieki zabobonne wierzenia w jakieś bożyszcza, które pod wpływem chrześcijaństwa zamieniły się w nieczyste duchy czyli djabły; tak powstały stare podania ludowe o sławnym Borucie, Rokicie i o djable gnieźnieńskim.

Wszędzie, gdzie nasi przodkowie składali niegdyś w świątyniach i w świętych gajach cześć i ofiary jakiemu bóstwu, ostatni wyznawcy wierzeń pogańskich zbierali skarby, aby za ich pomocą bronić pogaństwa. Ze wszystkich skarbów największym był gnieźnieński; wiedział o nim Mieczysław i zanim jeszcze dał się ochrzcić, postanowił zabrać go na potrzeby państwa. Atoli dowiedzieli się o tych zamiarach kapłani i przewieźli nocami łodzią przez jezioro skarb i zakopali dobrze w świętym gaju, a sami z rodzinami ukryli się w sąsiednich lasach, skąd potem bezpiecznie uszli na pogańskie Pomorze. Daremnie przeszukiwali ludzie pilnie każde nieomal miejsce w gaju, kopiąc tu i owdzie, skarbu w żaden sposób znaleść nie można było.

Niedługo potem w świętym gaju padły wszystkie wielkie drzewa, tak iż pogańskie bożyszcze czyli djabeł podług opowiadań ludu chrześcijańskiego ze swej kryjówki przy skarbie widzieć mogło, jak naprzeciw na drugim brzegu świętego jeziora topiono bałwany pogańskie, jak świątynie przerobiono na kościół i jak obok niego stanęła potem wspaniała katedra. Djabelskim zwyczajem czart raz straszył ludzi, to znów ich hojnie obdarzał, i tak widziała go pewna uboga dziewczyna, jak siedząc przed rozpadliną grzał się na słońcu; w jamie pełno było pieniędzy, z których uprzejmy gospodarz pozwolił przybyłej zabrać sobie pełen fartuch na posag. W krótkim czasie potem dziewczyna wyszła świetnie za mąż.

Pewnemu pastuchowi znów, gdy się przez krzaki przedzierał, spadła czapka z głowy i wpadła w jakąś głęboką szczelinę, pastuch począł szukać długiego pręta, aby dostać zgubę, w tem ujrzał w zaroślach jaskinię, przy której obok otwartych żelaznych wrót siedział czart. Przerażony człowiek chciał

uciekać, uprzejmy bies zaprosił go, aby wstąpił do jego siedziby, gdzie też i czapka się znajduje. Jaskinia ciągła się gdzieś daleko, lecz nie było tam ciemno, gdyż na sklepieniu stały sądki z pieniędzmi srebrnemi i złotemi oraz z różnemi kosztownościami, na jednym z nich leżała czapka. Djabeł oświadczył grzecznie, że gość może sobie nabrać pieniędzy w czapkę. Pastuch napełnił szybko czapkę srebrnemi pieniędzmi i uciekał, co mu nóg starczyło.

Gdy się o tem pan jego, bogaty chciwiec, dowiedział, wykpał pastucha zwiąc go głupcem, iż zamiast złota brał srebro, potem stając się dlań bardzo uprzejmym, wypytał się dokładnie o miejsce i różne szczegóły zajścia. Przebrawszy się w ubogie odzienie zaszedł na toż miejsce i niby zgubił czapkę w szczelinie. Czart był dlań tak samo uprzejmym jak dla jego sługi, lecz upominał go jeszcze, aby się nie obracał. Chciwiec znalazł swą czapkę i nabrał w nią samego złota, lecz wychodząc żal mu się zrobiło, że nie wziął jeszcze więcej, będąc już w progu obejrzał się poza siebie, gdy nagle z wielkim łoskotem zawarły się żelazne drzwi i przygniotły mu nogę. Chciwiec zemdlał z bólu i strachu, a gdy po chwili przyszedł do siebie nie widział już ani djabła, ani wrót, ani złota, został kaleką na całe życie, a w dodatku nazywano go kulawym djabłem.

Djabelskie sprawy sprzykrzyły się wreszcie mieszkańcom Gniezna, górę całą pokropiono święconą wodą i wybudowano kościół św. Piotra stojący jeszcze dziś przy mieście. Djabeł przeniósł się dalej wraz z skarbem za folwark Kustodję, gdzie dotąd pomimo włóczęgi po świecie bardzo często zagląda.

Rozmaitości.

Siedemdziesiąt lat tancerzem.

Przed kilku dniami obchodził rzadki jubileusz tancerz solista berlińskiego teatru państwowego, Emil Burwig.

Oddany w szóstym roku życia do szkoły baletowej przy ówczesnej operze królewskiej w Berlinie, Burwig jest do tej pory tancerzem, choć liczy dzisiaj 76-ty rok życia.

Objąwszy stanowisko tancerza solisty, uprawiał je za intendentury Botho von Hülsena, hr. Hochberga, Jerzego von Hülsena, prof. Schollingsa i Jetznera, poczem był baletmistrzem i nauczycielem tańca, ezem zajmuje się dotychczas, a jest tak rzeźki, że uczy też tańców nowoczesnych.

Odkopanie starorzymskiego szpitala.

Od kilku lat prowadzone przez rząd francuski prace archeologiczne w miejscowości Lambessi, w Algierze, doprowadziły do ciekawego odkrycia, z którego zdawał sprawę na ostatniem posiedzeniu paryskiej Akademji napisów archeolog francuski Cagnat.

Za czasów cesarstwa rzymskiego miasto Lambessi, zwane wówczas Lambesia, było siedliskiem stałem jednego z legjonów armji rzymskiej. Otóż, między innemi budynkami, wykopanemi z pod piasków, a pochodzącemi z owych czasów, znaleziono tam reszki świątyni, poświęconej Eskulapowi, a przy niej budowle z długiemi korytarzami, obszernemi izbami, kąpielami, zbiornikami wody itd., stanowiące bez wątpienia rzsztki wielkiego szpitala.

Połączenie to świątyni ze szpitalem, spotykane często w Grecji starożytnej, spotyka się po raz pierwszy w wykopaliskach starorzymskich.

Nowoczesne fotografje.

Wzdłuż dzienników angielskich, w Anglji rozpowszechniła się teraz moda fotografo-wania się we śnie.

Panie każą fotografować się najchętniej w negliżu, leżąc na kanapie, z zamkniętemi oczyma, rękowa złożonemi pod głową i malowniczo rozpuszconemi włosami. (W razie braku prawdziwych, mogą być i sztuczne.)

Zaletą fotografji takich ma być to, że wyraz twarzy na nich jest naturalny, nie zaś sztucznie wywołany.

Skąpy wydawca źródłem majątku.

Zmarły przed kilku dniami powieściopisarz sycylijski, Giovani Verga, autor licznych noweli i powieści, pisanych, wbrew zwyczajowi pisarzów włoskich, stylem tak zwięzłym, że koledzy jego po piórze nazywali utwory Vergi złośliwie „ekstraktem Liebiga“, był między innemi, też autorem noweli „Cavalleria Rusticana“, osnutej na tle życia włościan sycylijskich.

Utwór ten podobał się tak młodemu wówczas i nieznanemu kapelmistrzwi, Mascagniemu, że w 1890 r. młody muzyk zwrócił się do Vergi z prośbą, aby pozwolił mu użyć tekstu noweli na libretto do opery i nie był zbyt wymagającym co do honorarjum za tę przeróbkę.

Verga, będąc, jak wszyscy niemal literaci, człowiekiem mało przywiązanym do pieniędzy, odparł przyjacielowi Mascagniego, który zwrócił się do niego z tą prośbą, że chętnie pozwoli muzykowi na przeróbkę noweli i jeśli opera na tem tle osnuta przedstawiona będzie tylko w jednym teatrze i nie dozna powodzenia, to zrzeka się wszelkiego honorarjum, przypadającego mu według prawa.

Jak wiadomo „Cavalleria Rusticana“, przedstawiona po raz pierwszy w teatrze rzymskim Constanzi, doznała entuzjastycznego przyjęcia, wręcz niesłychanego nawet w gorących Włoszech. Stało się odrazu pewnością, że przedstawiona będzie na deskach nie jednego, lecz dziesiątków i setek teatrów.

Wobec tego Verga przypomniał nieśmiało wydawcy opery, Sonzognie, umowę swą z Mascagnim i upoważnił przyjaciela swego, poetę Giacoso, aby zażądał od wydawcy opery honorarjum ryczałtowego w sumie 5000 lirów.

Giacoso przerwał wobec tego pertraktacje i poradził Verdze, aby zażądał honorarjum procentowego, przypadającego mu, według prawa, od każdego przedstawienia opery.

Doszło do procesu i pomimo zaciętego oporu skąpego wydawcy, Verga uzyskał wyrok, przyznający mu żądaną tantjemę i w ten sposób zarobił na „Rycerskości wieśniaczej“, zamiast żądanych skromnie pięciu tysięcy, przeszło pół miljona lirów, co pozwoliło mu kupić sobie willę w Sycylji i żyć dostatnio do zgonu.

Humor i satyra.

Ogłoszenie.

Eleganckie mieszkanie, składające się z dwu pokoików i kuchenki, wraz ze strychem i piwnicą, w oficynie na czwartem piętrze, do wynajęcia za pięć tysięcy marek rocznie.

Na żądanie może być dodana stajnia dla osła, który zgodzi się na te warunki.

Ciężki kompliment.

Panna domu do gościa: — Do obiadu posadzę pana obok jednej z moich młodych i pięknych koleżanek.

Gość: — Dziękuję za młode i ładne koleżanki; wolę usiąść przy pani.